

„PROMIEN”

miesięcznik młodzieży Seminarium Nauczycielskiego
Ziemi Radomskiej.

ADRES REDAKCYI: Radom, Skaryszewska № 17, Seminarium Nauczycielskie.

I. Wiosna się zbliża. — II. Wiosna. — III. Modlitwa za Polskę. — IV. Druga kolonja letnia w Buszkowicach. — V. Czarodziejka. — VI. Kilka myśli o utworze „Szara przedza” Świerka. — VII. Emilja Plater. — VIII. Z dziennika wakacyjnego. — IX. Strachy. — X. Nasze zadania. — XI. Kronika. — XII. Odpowiedzi od Redakcyi.

WIOSNA SIĘ ZBLIŻA.

*Oto już zbliża się do nas
Ta pani życia radosna,
Pełna tajemnic i czarów
Wesoła, kapryśna—wiosna.*

*W stroju z fioletów, pierwiosnków,
Przepięta blasków i woni
W złotej promieniach jutrzeńki,
W wieńcu czeremchy na skroni.*
Jarembka.

WIOSNA.

Już i bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny,
A za nim, krzykliwemi nadciągawszy pułki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki

* * *

Wiosna! wiosna! Cała przyroda odczuła
już pieszczotliwe dotknięcie rózdką czarodziejki—wiosny i cieszy się z jej powrotu.

A ona idzie uśmiechnięta, radosna, w promiennych blaskach zórz, siejąc dokoła ciepło, życie, wesele... Roztoczyła czarodziejski płaszcz nad biedną, szarą, zmarzniętą ziemią, tchnęła w nią ciepło i siły i budziła do życia.—Odczuła ziemia to tchnienie — drgnęła, zbudziła się z martwoty i stroi się na powitanie swej pani.

Z szarego jej łona trysnęły trawy i kwiatki, wypełzły robaczki i owady...

Zabełkotały rzeki, uwolnione z pęt lodowych, strumyki zaszemrały znów po kamieniach, w wodzie, na ziemi i w powietrzu zawrzało nowe tętniące życie. Rzekłbyś, przyroda zrzuciła z siebie brzydki zimowy kożuch,

a przyodziła się w powiewną sukienkę, tak wszystko lekko i wdzięcznie wygląda. Nawet stare drzewa poruszyły omszonymi konarami i przybrały się w zielen. Każda roślinka, każdy najlichszy bodaj robaczek czuje w sobie nowe siły, nową ochotę do bytowania, chce żyć, chce działać.

I my, młodzież, bierzmy przykład z przyrody! Wszak myśmy także robaki boże, czujemy wiosnę tak, jak one ją czują! Dla nas ta wiosna jest niezwykle piękną, niezwykle radosną chwilą, chwilą, o jakiej napróżno marzyli życie całe nasi pradziadowie. My, więźniowie dotąd we własnym kraju, my dopiero pierwszą taką wiosnę mamy w życiu, wiosnę wolności! Jesteśmy tak szczęśliwi, że możemy zbierać posiew krwi i znoju naszych przodków—wykażmy żeśmy godni tego! Otrząśnijmy serca z lodów zimowych i przywdziejmy szatę godową, aby wiosna zastała nas w nowym stroju.

Niech zdrowe ziarna, które ona tak hojnie rozsiewa, padną na żyzną rolę naszych dusz i zakorzenia się głęboko.

Niechaj ciepłe tchnienie wiosny rozbudzi w nas drzemiące siły i skłoni do czynu, do działania!

Witajmyż więc tę wskrzesicielkę naszych pragnień i ideałów, witajmy ją z radością!

M.

Modlitwa za Polskę.

Powstaje Polska wolna. Powstaje po stuletniej niewoli, znękana bólami. Powstaje do nowego życia, gnębiona jeszcze przez krwiożerczych sąsiadów, dyszących szatańskim gniewem, pragnących napowrót złożyć ją do zimnego grobu.

Uchroń ją, Boże, od powtórnej niewoli!
O Ty, Wszechwładny, zlituj się nad nią,
Daj jej moc, wiarę w przyszłość!...

Gdy życie zaczynała, spowita mgłami nadgoplańskimi, zeszłaś jej, Boże, archaniołów, ażeby gdy smutek—pieśni ukojenia, a kiedy radość—tryumfu hymn nuciła

Daj jej, Boże, na dziś tych archaniołów,
niech imię „Polska” rozgłoszą aż do polarnych [śniegów,
Daj jej, Boże, archaniołów — harfarzy na złe [i dobre czasy

Była, Polska, męczennicą idei „wolnych z wolnymi”, była głosicielką słowem i czynem: „Za waszą i naszą wolność”, była symbolem cierpień za swobodę.

Pomnąc na to, Boże, daj jej
dawną potęgę, chwałę, wielkość—O, daj
dla dobra drugich!...

„Słuchała Polska chwilami podszeptu złych duchów, które ją pchały do ucisku nieszczęśliwych, lecz opamiętawszy się, zrzuciła z siebie jarzmo hańby i jaśniała znowu miłością, wyzwoleniem dla rzeszy skrzywdzonych

Daj jej, Boże, i teraz
moc do wyzwolenia swych synów
do podniesienia w nich godności człowieczej!...

Daj Polsce, Boże, przodownictwo w idei braterstwa narodów, Daj jej siłę do życia, Wybaw ją od nowej niewoli, Wybaw ją od walk wewnętrznych i zewnętrznych,
A Twoja niech się dzieje, woła!...

S.

Druga kolonia letnia w Buszkowicach.

(Ciąg dalszy).

Wycieczka do Opatowa.

Pięknym był ranek 8-go lipca. Czystego lazuru nie zamąciła ani jedna chmurka, ani najmniejszy obłoczek nie przemknął się po nim. Złote słońce hojnie zlewało ziemię swymi blaskami.

Ruch i gwar niezwykle panował od samego rana. Wrzało jak w ulu. Kuchnia wydawała zapasy żywności, wyznaczone dla podróży. Zaopatrywano się w różne przybory jak: plecaki, mapy, kije i t. p. rzeczy.

Wreszcie stanęliśmy w pełnym rynsztunku. Zrytmicznym brzękiem manierek, ze śpiewem na ustach — ruszyliśmy naprzód, zostawiając za sobą kłęby kurzu i echo...

Po dwugodzinnym marszu stanęliśmy u celu. Zakurzeni i spoceni, udaliśmy się do Kolegiaty, gdzie na bujnym kobiercu cementarza, rozłożyliśmy się wygodnie, oczekując na pana Inspektora. Kiedy ten przyszedł wraz z ks. proboszczem, poczęliśmy oglądać kościół i skarbiec w którym było dużo nagromadzonych rzeczy pamiątkowych i starożytnych, zasługujących na uwagę. Rzucał się w oczy wspniany pomnik Wielkiego Kancel-

rza koronnego, Krzysztofa Szydłowieckiego (dobrodzieja tegoż kościoła). Po obejrzeniu Kolegiaty zwiedziliśmy stary kościół Bernardynów a później poszliśmy zilustrować samo miasto. Oprócz kilkunastu starych budowli i bramy Krakowskiej, nic nie przypominało tak ruchliwego miasta, jakim był dawniej Opatów. Tu gdzie w owych czasach koncentrował się handel, gdzie w XII wieku nawet Wenecyanie zbywali swe towary — miasto nie szczególnie dziś nie przedstawiało. Błąkaliśmy się po jego wąskich ulicach kilka godzin, aż wreszcie na przełaj, przez pola udaliśmy się do wsi Lipowej, odległej o 3 wiorsty od Opatowa. W brzezinkowym lesie spożyliśmy obiad. poczem zwiedziliśmy pobliskie kamieniołomy, Tu kolega D... zrobił zdjęcie.

Piękny i malowniczy widok roztaczał się z góry. Jak sięgnąć okiem, zielone równiny, falujące złote łany, tu i owdzie samotny pagórek a tam w dali na horyzoncie — w dali sylwetka lasu. Powietrze przesyczone wonnemi zapachy ziół i kwiatów, upajało — od widoku pół oczu oderwać nie można... Wązkiemi ścieżynami, wśród gnących się kłosów, szliśmy do domu. Po drodze zatrzymaliśmy się we wsi Ptkanowie i tam zwiedziliśmy stary kościół. Był on pono założony w XII wieku — częste napady szwedów i tatarów burzyły go, lecz on napowrót wznosił ku niebu swe dumne wieżycy. Ze wszech stron otaczał go obronny mur ze strzelnicami. I z tej wojny „Europejskiej” kościół miał pamiątkę, gdyż mury jego, były poryte moskiewskimi i niemieckimi szrapnelami, wewnątrz też było widać zniszczenie.

Z Ptkanowa, prosto już lasami, dostaliśmy się do domu. Gorąca kolacja czekała na nas, to też głodni i zmęczeni — zjadaliśmy smacznie. A kiedy każdy zaspokoił głód — przepełnione obrazami głowy, ułożyliśmy do spoczynku...

Wycieczka do Sandomierza.

W trzy niespełna tygodnie, znów zatekniliśmy do jakiej wycieczki. Po dłuższych projektach został przyjęty przez „kolonję” wniosek trzydniowej pieszej wycieczki do Sandomierza.

Dnia 5 sierpnia wyruszyliśmy w drogę. Jeszcze głucha noc panowała naokół, kiedy „niegrzeczny” dyżurny, pościagał nas z łózek. Ziewając i przeciągając się, poczęli wstawać zaspani koledzy. Zaledwie szarzał brzask, a już staliśmy gotowi do drogi. Choć lekka mgła pokrywała świat, jednak zapowiadał się pogodny dzionek. Drzewa i trawy srebrzyły się dyamentami rosy. Pełni więc najlepszych nadziei, maszerowaliśmy rażno i swobodnie. Już kilka wiorst dzieliło nas od domu, kiedy nagle na pogodnym dotychczas horyzoncie, poczęły ukazywać się ołowiane chmury. Zerwał się gwałtowny wichur i pędził je w bezbrzeżną dal. Wkrótce całe niebo pokryło się ciemnym obłokiem. Ledwie zdążyliśmy się schronić, a już zaczął padać deszcz. Kiedy przestał — ru-

szyliśmy dalej, ale już przed Bidzinami znów nas spotkał już nie deszcz — lecz rozszalała burza. Nie zważając na chlupiące pod stopami błoto, klusem puściliśmy się do wsi. Dobiegając do najbliższej chałupy, tak byliśmy zachłapani i zmoczeni, że rzeczywiście byliśmy godni politowania.

A burza wciąż szalała i szalała, miotając konarami drzew, zrywając podszyte strzechy. Zdawało się, że otwarły się upusty niebieskie i chcą zalać ziemię wodą — zasypać piorunami. Zaledwie po dwugodzinnym okresie czasu, rozszalałe żywioły, deszcz i wichur, poczęły słabnąć, — wreszcie z po za rozsuwających się chmur, wyjrzało dobroczynne słońko i zagołło rany, zadane przez burzę.

Po przejściu tej ulewnej nawałnicy, drogi i ścieżki, przeistoczyły się w kałuże, przez które mogła przebrnąć kaczka, ale nie człowiek. Projekt pieszej wycieczki prysnął jak marny wiór. Z wielkim trudem dowlekliśmy się do pobliskiej stacji. Tam oczyściliśmy zabłocone ubrania, a kiedy nadszedł pociąg, z całym nabojem ulokowaliśmy się w nim. Bez przeszkód dostaliśmy się na stację Dwikozy, a ztąd pieszo do miasta.

Pan Inspektor poprowadził nas do ks. Rostafińskiego, który bardzo gościnnie kolacyjką przyjął nas i zapewnił nocleg, co było rzeczą nie łatwą, gdyż mieliśmy kilka „towarzyszek”. W dniu tym, zwiedziliśmy tylko Katedrę i Seminarium Duchowne, poczem udaliśmy się do przeznaczonego „przytułku”. Przebiegnięci i przemoczeni do suchej nitki, drżąc jak listki osiki, z wielką rozkoszą rzuciliśmy się na miękkie, wonne siano — rozległo się miarowe chrapanie i przytłumione oddechy zmęczonych piersi... Następnego ranka, zaraz po należytym przystrojeniu się, wraz z koleżankami udaliśmy się do kościoła św. Pawła. Po wysłuchaniu mszy św. wyszliśmy na miasto. I zaczęło się systematyczne zwiedzanie pamiątek i starożytności. Wspinając się na wysokie, kilka piętrowe wieże świątyni, mogliśmy dobrze obserwować miasto i jego okolice. To znów po stromych schodach dostawaliśmy się w podziemia, gdzie spoczywały szczątki bohaterów i wielkich ludzi. Z zapalonymi świecami, przebiegaliśmy podziemne korytarze i krużganki, pełne tajemniczości. Tu i owdzie, leżały szczątki kości ludzkich; piszczał, żebro, połówka czaszka. Wszystko to, dodawszy jeszcze nieprzejrzaną całość ciemności, wilgotne i stęchłe powietrze, czyniły na nas wrażenie posępnego grobowca, przejmując mimowolnym a nieokreślonym lękiem... I znów z przynębiających ciemności, wyłaniały się na światło dzienne, by podziwiać prastare pergaminy, ornaty, kapy, kielichy i t. p. rzeczy. Po południu zwiedziliśmy dom Długosza, muzeum Sem. Duch., skarbiec i wszystko to, co zasługiwało na uwagę, bądź swą ciekawą historią, bądź oryginalnością. Nad wieczorem skierowaliśmy swe kroki ku Wiśle — chcieliśmy orzeźwić się kąpielą. Ale cóż! Demoniczny deszcz zaczął nas prześladować, zmuszeni byliśmy wracać do domu. Po spożyciu kolacji,

zachęceni przez sympatyczną gospodynię, poczeliliśmy śpiewać najrozmaitsze piosenki, dopiero o godz. 11 ej, po wyczerpaniu repertuaru, w dobrych humorach udaliśmy się na spoczynek. Lecz w naszej stodole długo jeszcze panował gwar.

Kol. W... zasypywał nas wesołymi anegdotami, które wywoływały burze śmiechu, aż wreszcie zmęczenie, zakleiło nam powieki.

Pierwsze złote promienie słońca, przeświecając przez szczeliny i otwory w stodole, swą magnetyczną siłą zbudziły nas. Szybko zerwaliśmy się z posłań. W kwandras potem przez sady i ogrody, dostaliśmy się na górę „Salve Regina”. Tam u stóp krzyża, jeszcze raz mogliśmy nasycić wzrok, bujnemi łąkami kołyszących się zbóż, widokiem rozległych pól. Zaraz po śniadaniu i pożegnaniach, udaliśmy się na stację a w trzy godziny, siedzieliśmy już u siebie, rozповідаjąc o ubiegłych wrażeniach...

Wycieczka do Sandomierza była ostatnią. Chcąc upamiętnić nasz pobyt na kolonii, a zarazem dać szlachetną rozrywkę wieśniakom, pozostały czas przeznaczaliśmy na przygotowanie zabawy ludowej, program której miał być dość obszerny. Wszyscy też byliśmy zajęci. Jedni rysowali afisze, drudzy zbierali fanty, inni rozsyłali zaproszenia. Odbywano każdego dnia próby.

Z pośród tej pracy na chwilę — oderwaliśmy się kiedy przyjechali ks. Rektor i pan Dębski. Przez dwa dni ich pobytu odbywaliśmy częste przechadzki, na których nasz czcigodny ks. Rektor opowiadał najrozmaitsze „arabskie” i „hiszpańskie” bajki, z których serdecznie uśmieliśmy się. Lecz cóż! Krótki ich pobyt. Wkrótce musieliśmy pożegnać tak miłych gości i wrócić do pracy...

Po dziesięciu dniach bezustannych przygotowań, po dniach trudów i męczot, dnia 25 sierpnia odbyła się „Zabawa ludowa” urozmaiconą przedstawieniem amatorskiem, loteryą fantową, pocztą i wielu, wielu niespodziankami. Za scenę służyła nam werenda, a pod rozłożystemi konarami kasztana — miejsce dla widzów, którzy od południa zaczęli napływać. Licznymi powozami, powozkami, dryndulkami, zastawiony był cały dziedziniec dworski. Różnobarwny tłum odświętnie przybranych wieśniaków i wieśniaczek, panów i pań — zalegał obszerny klomb pod kasztanem.

Wesoło i ochotczo bawiono się do 8-ej godziny, poczem szanowni goście rozjechali się. Pozostała tylko gromadka dziewczuch i parobczaków, dla których wiejska kapela urzędną tęgiego oberka... I pan Inspektor z żoną i p. rzadca i my koledzy nie byliśmy na to obojętni... Puściliśmy się w tany... Gwiazdzista noc rozpostarła swe ramiona — nikt na nią nie zwracał uwagi. Dopiero szarzejący świt, przypominał ciężącym głowom czas odpoczynku...

To był ostatni... wesoły... pełen życia — fragment z naszej „kolonii”...

Minął jak sen, przeleciał szybko jak strzała — krótki a radosny okres wakacyjny. Obo-

wiązek oderwał nas od łona natury, by przenieść na szkolną ławę, do pracy, pracy wytrwałej, dla przyszłości, dla społeczeństwa.

I znów stanęliśmy w szeregach uczniowskich. Lecz brakowało w nich przewodnika — ukochanego Inspektora, którego przedwczesna a nieubłagana śmierć zabrała do zimnej mogiły, zostawiając łyzy pokrzywdzonych.

Jak zima zabiera życie roślinom, tak cios ten bolesny, zabrał urok szczęśliwie spędzonych wakacji... pozostawiając zeschłe badyle wspomnień.

KONIEC.

M. P.

CZARODZIEJKA...

*Z wdziękiem wiosny nieśmiertelnym,
W jutrzeńkowym blasku szat,
Wraz z orszakiem swym weselnym,
Czarodziejka idzie w świat.
Z uwieńczoną biegnie skronią,
Z śpiewem ptasząt, z kwiatów wonią,
I różowy bierze blask.
Płonie szczęścia przepowiednią,
Pożądaniem słodkich łask;
Wszystko wschodzi, wszystko rośnie
Pod jej stopą drząc radośnie.*

Podlesianka.

Kilka myśli o utworze „Szara przędza” Świerka.

W powieści tej mamy przedstawione całe życie młodej nauczycielki realnie, w przykładach. Książka ta, napisana w formie pamiętnika, zawiera w sobie całą ideę nauczania, całe owo apostołskie posłannictwo.

Gdyby to było w mojej mocy, to każdej nauczycielce młodej, idącej na wieś, darowałabym egzemplarz „Szarej przędzy“, takie ma ona wielkie znaczenie dla nas, bo każdy rozdział tchnie wielkiem umiłowaniem zawodu i ludu. Z niej czerpać można w chwilach zwątpienia nadzieję i siłę.

„Wychowanie wszystkich, to dzieło nieskończone, wychowanie dziatwy z klas wyższych, to rzecz wielka i doniosła, ale wychowanie ludu, to arcydzieło i trzeba na to serca jak wulkan, duszy jak kryształ, woli jak granit, niezłomnej!” — mówi bohaterka tej powieści.

Ona właśnie miała wszystkie te zalety i dlatego jest nie tylko ideałem nauczycielki ludowej, ale wogóle wychowawczyni ludu, dla którego była owym jasnym promieniem słońca.

Droga jej życia to walka nieustanna z przeciwnościami, ona cierpi, lecz zwalcza je wytrwaniem, łagodnością, a ciągle ma na myśli

dobro innych. Nic to, że pensji nie dostała, byle dla matki wystarczyło — jej wszystko jedno. Ona wie, że taka dola ją czeka zawsze, innej się też nie spodziewa.

Rozpacz i litość ogarnia jej duszę, gdy widzi tę wielką ciemnotę ludu.

Wrzesień cały schodzi jej na ściąganiu dzieci do zapisu. Nareszcie więcej prośbą, niż groźbą zdołała to jakoś przeprowadzić i w październiku rozpoczęła lekcje.

Jak postępować z ludem — uczmy się od niej. Nie mogłam zapanować nad wzruszeniem czytając jej rozmowę i owo pierwsze przywitanie się z gospodarzami w szkole.

Tak prosto, a serdecznie umiała do nich przemówić, że w końcu zrozumieli ją i pokochali. Znikła owa nieufność z ich strony, która stałaby się nieprzepartą zaporą do oddziaływania na wioskę. Odtąd zaczyna się owa siejba w duszach ludu. Główną przeszkodę zwalczyła, ale zostaje jej jeszcze ująć i przekonać — dwór i plebanję. Przykre to, a jednak prawdziwe.

Zamiast słowa zachęty i uznania spotyka ją z tej strony obojętność i lekceważenie. Z całą godnością więc cofa się i zostaje sama z ludem tylko, i zagłębia się w pracy takiej szarej, codziennej, w którą jednak umie wplatać poezję. Cóż, że dwór ją ziębi swoim zachowaniem się? Wszak ona więcej poświęciła, bo z miasta rodzinnego, ze środowiska ciepła i przyjaźni, zestawiając za sobą grób ojca, poszła dla idei do cichej, dalekiej wioski, nie szukała bowiem pracować tam, gdzie nas czekają przyjemności, lecz tam, gdzie wzywa obowiązek święty. Uczciwa praca dała jej też dużo jasnych chwil i zadowolenia.

Wzrosła sercem i duszą w otoczenie i gdy nastąpiła wiosna, zamiast karmić się marzeniami osobistego szczęścia, ona cieszyła się przyrodą, którą tak pięknie otwarza w swoim pamiętniku i woła:

„Ach wiosko! jak cudownie piękną jesteś! Jak ja cię kocham! Nie mogę już wyobrazić sobie życia bez ciebie! Skąd ci tyle, wiosko, ciszy i pieśni, kwiecica i słonecznych blasków, tyle pracy i bajek, tyle modlitw i niedoli!”

Nadszedł dzień egzaminów i zakończenia roku szkolnego.

Myślicie, że kto zajrzał do chatki nauczycielki ludowej spojrzeć na jej trud i na to jej żniwo? Nie, bo to przecież... nic ciekawego.

A czy była szczęśliwą? Czy jej to wystarczało? Pomimo, że serce jej było wypełnione miłością ludu, miała i ona swoje osobiste pragnienia, tych jednak spełnienia Bóg jej nie dozwolił. Wybuchł pożar we wsi, ludzie uratowali jej dom i rzeczy; umiera jej siostra, która się z przerażenia rozchorowała. Po tej bolesnej stracie z żalem wielkim musi opuścić swoją ukochaną wioskę, gdzie najpogodniejsze i najszczęśliwsze dni spędziła. Ludzie nie chcą jej puścić, wyprzegają konie z wozu, płaczą, ale ją i matkę zgnębiłoby wspomnienie i widok tych kątów, gdzie umarła Halka. Przeniosła się więc na wieś w pobliżu Krakowa.

Tu dopiero widzimy cały kontrast, jaki zachodzi między wsią odludną, a podmiejską. Tam widać czysty, pocziwy duch narodu, który się da urobić, uszlachetnić: tu mamy żywioł trudny do opanowania i pokierowania. Wieś podmiejska bierze z miasta samo złoto i brudy. To też nie mogła długo obudzić w sercu swojem miłości do tej jeszcze biedniejszej dziatwy. Z czasem jednak doszła do tego, że równie gorliwie pracowała nad nią. Że jednak taka tranżlokacja nie jest dobrą dla nauczyciela ludowego to się na niej sprawdziło i ona sama o tem mówi, że:

„wychowawca jako ptak przelotny,
to postać bez zasługi”.

Potem jeszcze jeden cios na nią spada — umiera jej narzeczoną. Odtąd życie jej jest pozbawione ostatniego jasnego promienia, a szczęście osobiste nie istnieje już dla niej.

Teraz cała oddaje się pracy dla społeczeństwa. Odgania nawet myśl o przeszłości, żeby nie odbierać sobie energii.

„Przecież w pracy jest najpiękniejszy cel życia”, — mówi — „a cóż dopiero w pracy nad wyrobieniem dusz ludzkich”.

A pracy jej nie brak! Wzorowo prowadzi swą szkołę, troszczy się o byt nawet materialny swej dziatwy, bo stara się dla niej zdobyć ubranie w mieście, które czasem lubi się bawić w filantropję, lecz często jest „zimne, jak Rada szkolna miejscowa”. Chodzi nawet w wolnych chwilach do pracowni krawieckiej i tam czyta „historję” dorosłej czeladzi, która nie ma na to czasu, lub chęci, której im dodaje swojemi opowiadaniem z historii Polski, „Pana Tadeusza” i t. p. Nawet wycieczki jej nad Wisłę nie są bezcelowe. Oto gromadka chłopców — gazeciarzy, biednych, obdartych, ale spragnionych nauki otacza ją i słucha z chciwością każdego jej słowa. I tu ma pole do uszlachetniania dusz młodych. Wszędzie zaś bada duszę ludu, umie widzieć jego dobre strony i tem się krzepić w chwilach zwątpienia. A wiecie co przyczyniło się do tak wielkiego umiłowania zawodu? Oto poznanie ludu.

„Lud!”... Czy rozumiemy, co to słowo znaczy?

Miljony serc czystych, miljony spracowanych dłoni, miljony ramion, dźwigających trud i ból życia... — to lud.

Wielka armia pracowników, którzy nam dają chleb codzienny, wznoszą dla nas domy i pałace, budują drogi, ochraniają od burz, deszczów, śnieg nam z pod nóg uprzatają i strzegą nas od niebezpieczeństwa — to lud.

I ta śliczna, malownicza, najniższa pod względem wykształcenia warstwa narodu, która wierzy po staremu i kocha po dawnemu, która cześci dawne obyczaje i tradycje: to także lud.

I ta, w dziwne szaty dłonią nędzy przyodziana najuboższa klasa społeczeństwa, która nie ma ani chat bielonych, ani zagonów, boć w wąskie pasy pokrajanych, ani zwyczajów dawnych, ani wiary silnej, ni cnoty pocziwej: to przecież także lud...”

Oto tak rozumiała. I przeszła przez życie cicha pracownica, wszędzie kochana, wszędzie zostawiła po sobie pamiątkę najtrwalszą, bo szlachetne uczucia w duszach ludzi.

Z. M.

Bolesław Saski.

EMILJA PLATER.

(STROFY LIRYCZNE).

Praca odznaczona przez Akademię Umiejętności w Krakowie r. 1913.

(Ciąg dalszy).

Aż ja winna, że przed tron niebieski
Nie mogę rzucić lilii śnieżnych pęków:
To jednej szczęścia dziecięcego łezki,
To serca w gloryi nieskalanych wdzięków?
Aż ja winna, że w mej biednej ziemi
I kwiaty kwitną kolory krwawymi?

Duszę Ci daję, chronioną przed grzechem,
Jako ogrodnik zimą róże chroni:
Widoku nędzy nie kalalam śmiechem
A podtym czynem nie zbrukałam dłoni —!
Twoich zakonów chronicielką żywą
Chcę być — zwróć na mnie łaskę dobrotliwą!

VIII.

Dzwon sygnaturki ozwał się nieśmiało;
Na wiotką trawę chłodna spływa rosa;
Wszystko w powietrzu tęczą rozbarwioną,
Aż rozłeczyły się mętne niebiosy;
Gdzieś, z puszczy wionął oddech boru tęgi —
W zachodzie krwawo płoną widnokręgi — —

Jękiem się skarżą cichym zczucie bogi,
Z wiatru kapelą głuche płyną skargi;
Staruszek Litwin przykleknął u drogi,
I Anioł Pański głoszą starca wargi;
Tam się krzyż, — próchno chyli w piasków ławie;
Na niebie słychać ciągnące żorawie —

Od borów wonne ziół kadzidło płynie;
Tuż strumień gwarzy pod gąstwy arkady;
Pastuchów ognie błyszczą na dolinie
Z nad niskiej strzechy mkną gołębi stado;
U progu dziatek bawi się gromadka,
A Anioł Pański szepeczą usta dziadka,

Zachód się splonął, jak maków pęk żałę;
Od puszczy wichry zahuczał zuchwale;
Łotewskie sady wtórem mu przygrały
I ryk podniosły zimne Dzwiny fale;
Jaskółki nagłym strachem obłąkane —
Skryły się pod chat opiekunczą ścianę —

Świsnęły łoży, jękała smukła trzcina —
I dzikie kaczkę zerwały się lotem;
Derkacz się czajce krzykliwie odcina;
Zachód purpurą się mieni i złotem,
Wtem grom uderzył, zaskowytał śmiechem
I rozkołysał wraz dalekiem echem!

*Wnet od zachodu nowe mkną kolory,
Mnogość tęcz bucha i krwią się rumieni
W szalonym huku—rozbudzone bory—
Huragan niosą na gejzer płomieni;
Fale na Dźwinie, krwią zaróżowione,
Biją o glazy nadbrzeżne—szalone!*

*Wždy, lubo we krwi zachodu pożarnej
Błyskała groźna pożogi purpura,
Wrzeca się pienić też kielich ofiarny,
A w burzy, grała wielka dziejów chmura,
Co ponad światem zasyczy, jak węże,
Poszli Litwini opatrzyć oręża — — —*

*Za pierwszym gromem wtóry grom się budzi,
Umarło słońce pod chmurzysk naporem,
Zgasta purpura; tęskne dusze ludzi,
Co ku wolności lecą skrzydłem skorem,
Przeczuły cudne, krwią żyźne, świtanie.
Niech błysną zbroje! bębnow warknie granie.*

IX.

*Zdrajcą, kto wierzy dziś w porządek stary!
„Do broni, bracia, ojczyzna was wzywa!”
Na Solcu płoną już na znak pożary;
Niechże karabin każdy z was porzywa:
Zdobyte przez lud mężny arsenały
Do walki proszą... Wróg nie ujdzie cały!...*

*Hej, na Belweder! siłą zmódz tyrana;
(Blask chwały gorzkie dni oświeci nasze!)
Hej, na Belweder, stolico nekana,
W krwi wroga obmyje rdzą skwitte palasze!
Chwila odwetu błysła sprawiedliwa —
„Do broni, bracia, ojczyzna was wzywa!”*

*Zerwane z wrogiem przyjaźń i układy!
W ulicznym boju niechaj i kobiety
Nie będą głuche, gdy kul świszczą grady!
Zdrajcą, kto dziś się nie rwie na bagnety!
Zdrajcą, kto ręce od boju umywa!
„Do broni, bracia, ojczyzna Was wzywa!”*

X.

*Już się tłum krwawych ofiar dopomina,
Już serca gorzą poświęceń dostatkim,
Już w piersiach ludu płomienna nowina
Zażgnęła iskry, a po wsiach nie rzadkiem
Że oracz czeka, kiej wici się splotą,
Dobosze zagrzmia, trębacz zadzwonią—*

XI.

*Nie będę płakać! Niemoc i niewiastom
Dziś nie przystoi, jedno oręż śmiały—
Pójdę! Bóg wzywa! Będę głosić miastom
Wolności hasło i potęgę chwały!
Spadnę, jak wieher, w losów walkę ciemną:
Bóg na niebiosach—rycerze przede mną!*

(C. d. n.).

Z dziennika wakacyjnego

kol. ST. CHRZĄSZCZA.

Wtorek, dn. 22 Lipca.

(Dalszy ciąg).

Z Rysiem lekcya idzie dobrze. Teraz z Tadzkiem. Każę mu czytać, później opowiadać — zapomnieniem z „początku” — wymawia się.

Pomogłem mu z początku. Okazało się, że umie dalej kawałek ale dosłownie, tak, jak było w książce. Mam cię już. Tadzio jest to kowal: z książki opowie, a swojemi słowami nie. Więc teraz składam książkę i zaczynam Tadziewi opowiadać ciekawe historyjki. Każę mu je powtórzyć. Pamięta! Teraz mu tłumaczę mniej więcej w ten sposób, że jak czyta książkę, to niech mu się zdaje, że to ja mu opowiadam, albo on komuś. Znow zaczynamy czytać z książki. Okazuje się, że pamięta już daleko lepiej.

Wpadam znow na inny pomysł. Każę mu sobie wszystko uprzytomnić w wyobraźni. — Jak czytasz oczami, to staraj się to widzieć, iść razem z opowiadającym, robić to co on. Idzie mu łatwiej.

Środa, dn. 23 Lipca.

Tadzio robi znaczne postępy. Sam opowiadał lekcye. Następnie jakiś kawałek przeczytał przy mnie i sam opowiedział. Teraz zaczynamy arytmetykę. Umiał kiedyś tabliczkę mnożenia, ale to wszystko dawno zapomniał. Więc tę lekcję prowadzę tak samo jak i przeszłe. Robimy zadanie z podręcznika. Nie może zrozumieć. Zaczynamy pogładowo—Tadziu, byłś dzisiaj na jabłkach i na wiśniach? — Byłem — Więc dobrze! Dziś jabłek 4, a wisien o 9 więcej; dałeś Maniusiowi tyle, a tyle—Ile ci pozostało? — A! to muszę wiedzieć ile miałem wisien, później ile razem jabłek i wisien i t. d. Zrobił.

Czwartek, 24 Lipca.

Rysio lekcji nie umie, Tadzio także, ale z nim to inna sprawa. Nie każę mu samemu się uczyć, bo nie chcę, żeby po swojemu wszystko rozumiał i zaraz zapomniał, więc uczymy się razem. Rysia upominam, ale to nie skutkuje, bo po obiedzie znow lekcji nie umie. Jak tak będzie dalej; to źle!

Piątek, dn. 25 Lipca.

Wszystko dobrze, bo wciąż tylko jedz i jedz. Co godzina śniadanie, znow drugie śniadanie i tak ciągle, aż jestem nieraz zły. Lekcja i to bywa nieraz przerywana dla jedzenia. Jest mi tu bardzo dobrze i, gdyby się Rysio uczył, tobym chciał, aby takie wakacje były co rok.

Sobota, dn. 26 Lipca.

Już od kilku dni padają deszcze i nie mogę się nigdy wybrać do domu, chciałbym tam iść koniecznie. Może przecie dzisiaj mi się uda bo deszcz ustał a wiatr się ruszył.

Wtorek, dn. 29 Lipca.

Przecież po długich i ciężkich przeszkodach jestem w domu. Wyszedłem w sobotę o godz. 4-ej rano. Przyszedłem do Radomia

o godz. 1-iej po południu. Byłem w domu całą niedzielę, a w nocy na poniedziałek wyszedłem. Zraz za miastem zaczął padać deszcz już pod Wolanowem cały byłem zmoczony. W Mniszku zatrzymałem się trochę, bo niepodobna było iść dalej. Nawet psa nigdzie nie było widać, a tu z Radomia do Wymysłowa dobre 6 mil. W Mniszku trochę obeschłem i po dwóch godzinach ruszyłem dalej. Wkrótce deszcz ustał i spokojnie już doszedłem do Wymysłowa.

Sroda, dn. 30 lipca.

Naprawdę to nie mam co pisać, chyba tyle, że Tadzio coraz mniej się uczy, a pamiętać nie chce. Dzisiaj otrzymałem program dla Rysia. Zaraz zmieniliśmy plan lekcji, dlatego że niektóre przedmioty jak zoologia i historia św. Starego Testamentu są niepotrzebne.

Czwartek, dn. 31 Lipca.

Z Rysiem mam lekcye od 2 do 3-ch godzin, a czasem i więcej, bo uczy się tylko tyle, co siedzi ze mną, a gdy ja skończę lekcję, to i on już prawie nic nie robi. Przykrzy mi się trochę, bo lekcye mamy późno około 10—11 wieczorem. Wstaję też trochę za późno bo 7—8, ale nigdy się nie mogę doprosić, żeby mnie wcześniej obudzili. Zaraz po śniadaniu chodzę żąć w pole. Idzie mi niezgorzej. Dziwili się, że od pierwszego razu tak dobrze żąłem. Choć tak dobrze żąłem, ale palec sobie skaleczyłem. No bo każdy pierwszy raz musi się skaleczyć.

Sobota, dn. 2 Sierpnia.

Naprawdę to nie mam czasu pisać dziennika. Rano jak tylko wstanę, zaraz mam robotę. Najczęściej idę żąć zboże, bo palec mi się zagoił. Przed wieczorem byłem w Przusze i widziałem się z kolegą Morawskim z IV kursu. Gdy wracałem z miasta, wstąpiłem na cmentarz w Skrzyńsku i widziałem wprost cudny murowany grób hrabiego ze Skrzyńska.

Niedziela, dn. 4 Sierpnia.

Wszystko dobrze, bo i Rysio zaczyna mi się lepiej uczyć! Ale jakim dziwnym sposobem zmusiłem go do tego. Niechciał mi się w żaden sposób poza lekcją uczyć, i nie mogłem zrobić złością więc postanowiłem coś poradzić dobrocią. Tedy w chwilach wolnych spędzam czas z Rysiem. Niech sobie znów nikt nie myśli, że nic nie robię, o! robię bardzo dużo. Opowiadam mu zajmujące rzeczy. Temi opowiadaniem z różnych podróży, z historii w stosunkowo krótkim czasie tak sobie zjednywam mego ucznia, że odtąd nie daje mi nigdy spokoju, nawet w nocy, niechce spać w domu, tylko przychodzi do mnie do stodoły. Ja znów korzystam z jego zajęcia się i opowiadam mu bardzo dużo, ale z geografii, historii, przyrody i t. p.

Teraz już się lepiej uczy, bo boi się abym mu nie przestał opowiadać. Lekcyę tak samo prowadzę zajmująco. Choć mnie to dużo pracy kosztuje, ale zawsze staram się wyklądać mu z zajęciem. Często się to z tego to z owego pośmiejemy, dłuższy czas, ale trudno, inaczej być nie może. I chyba to nieprawda, że ktoś niechce się uczyć, lub zdolności niema. Wszystko jest, tylko trzeba umieć trafić do te-

go. Trzeba umieć znaleźć drogę do rozwinięcia charakteru i wykorzystania zdolności. A droga ta nie może być jedną. Jedną drogą nigdy nie trafimy do dwóch różnych charakterów. Więc metoda nauczania nie może być jedną, niezmienną, ustaloną, przeciwnie, musi się zawsze zmieniać, bo nigdy nie znajdziemy dwóch jednakowych ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STRACHY.

Byłam na wakacjach u Zośki. Starsza jej siostra wyjechała, zdaje mi się do Warszawy na parę dni, a nam zapowiedziała żebyśmy się nie ważyły zaglądać do jej pokoju. Może miała jakie tajemnice?—Chciałyśmy święcie spełnić jej wolę, gdyż za to obiecała nam przywieźć piękne upominki.

Było to pewnego pięknego wieczoru podczas jej nieobecności, księżyc jasno świecił lejąc srebrne blaski na dzikie wino, otulające ganek domku, wietrzyk ledwie poruszał listkami brzoź i topoli, okalających wiankiem domstwo: ja i Zośka już wpół rozebrane wybiegłyśmy ze swego pokoiku i siadły na ganku. Obie siedziałyśmy w milczeniu. Naraz ciszę przerwał trzask w pokoju siostry Zośki. Drgnęłyśmy. Trzask powtórzył się i to kilkakrotnie raz po raz. — Co to być może? — szepnęłam i poskoczyłam zajrzeć przez dziurkę od klucza, co się tam dzieje.

Ledwie zdążyłam przytknąć oko, gdy kilkakrotny, złowrogi trzask odrzucił mnie jak piłkę odedrzwii. Wpadamy do domu trzęsąc się ze strachu. Zośka krzyczy: „gwałtu! złodzieje, strachy!“

Zerwali się wszyscy: brat, służba, a nawet babcia Zośki i cichutko, na palcach, z przyémioną lampką przesunęli się do tajemniczego pokoju.

Otworzyłam drzwi. Wchodzimy, w pokoju niema nikogo. Obejrzałam stół, bo ów trzask zupełnie przypominał uderzenia pręta, ale uspokoiła mnie nienaruszona warstwa kurzu na stole.

Oj! dzieciaki pewnie wam się coś przywidią! powiada starszy brat Zośki. Ale gdzież tam—odzywa się urażona — wyraźnie słyszałam trzask.—Może to jaka dusza pokutująca — zawyrokowała drżącym głosem babcia. — Dusza? — Włosy na głowie dębem mi stanęły i obejrzałam się mimo woli, czy jej gdzie nie ujrzę.

Niema co marudzić, chodźmy spać—zawołał brat Zośki. Pewno mysz przyleciała, a wy narobiłyście krzyku. — Tak, tak, mysz... Gadaj zdrów, pomyślałam sobie i rozeszliśmy się. Ale tej nocy spałyśmy z Zośką na jednym łóżku, bo się każda bała, aby jaki upiór nie wyciągnął jej za włosy z pościeli.

Na drugi dzień wieść o wczorajszym zdarzeniu rozeszła się już dokoła. Kiedy zapadł wieczór, zeszło się wielu znajomych i sąsiadek, aby się o wszystkim naocznie przekonać. W skupieniu obiegli dwoje drzwi, wiodących do zagadkowego pokoju. Początkowo nic nie było słyhać, więc zaczęło się niecierpliwić, aż naraz odezwał się znany mi już trzask.

Najpierw wolno, później prędzej, a w końcu tak prędko, że zgromadzeni w jaknajwiększym popłochu rozpierzchli się we wszystkie strony. Kiedy ochłonięto z pierwszego wrażenia, stara sąsiadka zapewniała, że to nic innego jeno jakaś dusza żąda pomocy.

A więc trzeba jej się zapytać, ale kto się zapyta? wszyscy spojrzeli po sobie. Milczenie. — A no, to ja się zapytam — mówię, a serce wali we mi jak młotem.

Z wielkim niedowierzaniem przyjęto moje słowa, ale zgodzono się chętnie, więc idzie nas kilkoro do drzwi. Ciemno zupełnie, cicho jak w grobie, każdy wstrzymuje bicie własnego serca, tylko ja wstrzymać nie mogę w żaden sposób. Czuję, że włosy jeżą mi się na głowie, nogi uginają się, ale nie, czekam. Wtem — trzask, trzask!... — Wszelki duch Pana Boga chwali, czego potrzebujesz? — wyrzuciłam z siebie drżącym głosem.

Naraz o cudo: w pokoju światło i szmer słychać...

Bractwo w nogi, ja za nimi. — Co się stało? Wszyscy uderzają w długi niczem niepowstrzymany spazmatyczny śmiech, ja również. Przyczyną tego jest nasz własny popłoch, bo proszę sobie wyobrazić dlaczego uciekaliśmy? Z powodu nagłej światłości. O skąd się światłość wzięła? Do pokoju prowadziło dwójko drzwi; otóż przy jednych my czatowaliśmy, przy drugich zaś, nie wiedząc nic o sobie, przyczaiła się druga partja. W chwili, kiedy dał się słyszeć trzask i mój głos, partja ta myśląc, że to głos ducha, wchodzi z lampą do pokoju, nie nie spęstrzega, słyszy jednakże za ścianą szmer i popychanie myśli więc, że to duch takie harce wyprawia, w nogi. Obie strony przekonały się o swej pomyłce i naiwności i wybuchnęły śmiechem. I śmiano się tak serdecznie, że każdy zapomniał o strachu i poszedł w swoją stronę.

W parę dni przyjechała siostra Zośki i zaraz wzięła się do porządkowania w swoim pokoju. Sprzątając usłyszała trzask, którego w dzień nie słyszeliśmy, bo nikt nie przypuszczał nawet, aby w biały dzień mogło się zdarzyć. Zaciekawiona otworzyła otomanę w której trzask dochodził, i spojrzała: jej orzechy, co je tak starannie przechowywała, są zjedzone przez myszy, których coś o oło tuzina, kręci się między skorupkami.

Myszy spostrzegłszy niebezpieczeństwo, uciekają, ile sił starczy. W popłochu poruszają skorupkami i powstaje trzask, który nas przecież kosztował tyle strachu.

Maryna.

NASZE ZADANIA.

Marzenia ojców i dziadów naszych ziściły się: mamy wolną Polskę, a chociaż szarpią ją żarłocznicy sąsiedzi, to da Bóg, że zostanie wkrótce zupełnie zjednoczona.

W zjednoczonej, niepodległej Polsce potrzeba setek tysięcy ludzi mądrych, uczciwych, ludzi, którzy poświęcaliby się dla jej dobra.

I tych ludzi wygląda Ojczyzna nie tyle od podsztycho pokolenia, ile od nas młodzieży: my mamy być fundamentem, na którym wspierać się będzie gmach Ojczyzny. Wśród tej młodzieży w pierwszym szeregu staniemy do spełnienia zadań przyszłości my seminarzyści i seminarzystki, jako przyszli nauczyciele i wychowawcy ludu.

A jakież są nasze zadania? Zadania nasze na przyszłość są olbrzymie: musimy iść na wieś i tam szerzyć oświatę, nie tylko oświatę jako pisanie i czytanie, t. j. nauczanie; myślimy wykorzeniać wraz z ciemnotą złe nawyki: przesady, niechlujstwo, pijaństwo; musimy szerzyć ocenę czasu, oszczędność pieniądza, higienę, szlachetny postępek, kulturę roli, kooperatywy, musimy pouczyć tego ciemnego chłopca, że jest obywatelem Polski i dla niej powinien pracować, musimy nauczyć dziecko, co to jest cnota; wyrobić w nim szlachetny charakter. Niektórzy z nas będą pracować pośród warstw robotniczych, niech tam pracują dla tego ludu, dla jego lepszej przyszłości. Jak widzimy, że oprócz obowiązkowej nauki czytania i pisania, mamy jeszcze inne zadania, które musimy spełnić.

O, żeby Bóg poszczęścił nam w przyszłości żebyśmy zabrali się do pracy dla ludu, a owoce jej nie pójdą na marne.

Koleczy i koleżanki! wy, którzy w tym roku opuścicie mury seminarium, stańcie do pracy dla ojczyzny, dla Polski; spełnijcie godne zadanie, które macie przed sobą, a potomność będzie was błogosławić.

Kronika.

— Dnia 3 kwietnia wyjechała do Warszawy na kurację nasza ukochana inspektorka p. dr. Szczepaniakowa, zastępuje ją na wszystkich kursach ks. Rektor i p. Bojarska.

— Dnia 4 kwietnia kurs IV miał pierwszy wykład p. Pogorzelski ekonomji politycznej.

— Dnia 6 b. m. odebraliśmy list z Warszawy od p. Szczepaniakowej. Przesłany był na ręce p. Wandy Dzikowskiej, a wystosowany przeważnie do koleżanek. Na każdym kursie list ten był czytany, sprawił nam wielką przyjemność.

— Dnia 10 b. m. na IV kursie odbyła się pierwsza lekcja praktyczna z pożarnictwa: ćwiczenia przygotowawcze z komendantem p. Przyjałkowskim.

— Dnia 11 kwietnia. Dzisiaj zostaliśmy zwolnieni z lekcy na święta Wielkanocne. Lekcje rozpoczną się 29 kwietnia.

Kroniki z żeńskiego Seminarium nie podajemy, a to dlatego, że kronikarki tegoż Seminarium nam jej niedostarczyły.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Odpowiedzi na resztę artykułów nie podajemy, bo jeszcze nie były czytane.

Cena pojedynczego numeru kor. 1 h. 50, rocznie kor. 15.

Druk J. Grodzicki i S-ka — Radom. 14911—146—19.